

Stale zaglądamy do naszego okna nadziei – na tablicę ogłoszeń przy wejściu do polskiego kościoła. Sławek wśród znajomych niestrudzenie wypytuje o mieszkania. Przeświadczony, że wieści między ludźmi, jak na jarmarku „jedna baba drugiej babie”, tutaj także roznoszą się tą drogą. Wierząc święcie zasadzie – „kto szuka ten znajdzie”, w końcu się doczekał. Kolega Kaczmar, Picuś – artysta malarz, słyszał o tanim hotelu w łacińskiej dzielnicy i daje Sławkowi namiar na *Hotel Du Commerce*, w centrum miasta, niedaleko Sorbony, przy rue de la Montagne Sainte-Geneviève, w górę od Saint Germain, na południowym brzegu Sekwany.

— Stąd do Greka na piechotę — zauważa Andrzej.

W recepcji siedzi grubaśna jak beczka baba, niechlujna, z tłustymi włosami w wyświechtanym fartuchu, do tego niesympatyczna. Gosik pyta o wolne pokoje.

— Są i możemy iść na górę je obejrzeć.

Idziemy po drewnianych, wyrobionych na półokrągło stopniach. Sfatygowane skrzypią i chyboczą się pod nogami. Mam obawy, że zaraz się rozlecą.

— Te schody, chyba przeżywały swoją świetność w czasach Balzaka — żartuje Andrzej prowadząc za rękę Patkę.

Wchodzimy na drugie piętro. Pierwszy pokój na prawo, za czterdzieści franków dziennie, ma duże, zapadnięte pośrodku metalowe łóżko, dwa krzesła, wiekowy stół i umywalkę. Podłużne dwuskrzydłowe okno z barierką wychodzi na wąską zaciszną ulicę. Wspólna ubikacja po drugiej stronie, przez korytarz. Drugi pokój na wprost, w końcu korytarza jest większy i z łazienką. Kosztuje pięćdziesiąt franków. Łóżko nielepsze niż w tym poprzednim i też stół z krzesłami. Okno wychodzi na podwórko, gdzie na sznurkach suszy się przeprana chyba z tysiące razy, szara pościel. Zaglądamy do łazienki, skąd natychmiast cofa nas kanalizacyjny fetor. Pośpiesznie zamykamy drzwi. Patrzymy na siebie pytającym wzrokiem.

— Coś za coś. Tanio i lokalizacja super — odzywa się Sławek.

— Lepiej, jak w domu uchodźca. Spokojnie i wszędzie blisko.

— W sercu łacińskiej dzielnicy, najfajniejszej w mieście! — dodaje Gosik.

— Jest okazja, by zasmakować atmosfery i zapachów prawdziwego Paryża. — agituje Andrzej widząc nasze miny — No, to co? Bierzemy?

— Bierzemy! — potakujemy zgodnym chórkim.

— Od jutra — decyduje Sławek i nie czekając na potwierdzenie... — Gosiczku weź załatw!

— Weź załatw? — obrusza się patrząc na niego z wyrzutem.

— Przecież wiesz, że nie zrobimy tego tak dobrze jak ty — wytrąca jej argumenty, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej. Niepocieszona, mrucząc pod nosem doprowadza do końca transakcję płacąc Grubej za dwa tygodnie z góry.

Rozglądam się dookoła.

— Co wy na to, żeby rozeznaczyć teren... gdzieś tutaj w okolicy coś zjeść? Zgłodniałam.

— Ja też! O, tam na rogu jest knajpka — rozochoca się Sławek, zawsze chętny by przekąsić.

W pobliskim bistro zjadamy *croissanty* z żółtym serem. Chłopaki wypijają po *un demi*, Patka sok, a ja z Gosikiem *café crème*.

Jak tętniące życiem paryskie place i bulwary są sercem miasta, tak wąskie uliczki i zaułki są jego duszą. Zaczisnie tu i ciasno wśród odzianych w renesans, malowniczych kamienic. Czas płynie jakby wolniej i niewiele trzeba wyobraźni, by przenieść się w minione epoki. Dostojny Panteon, wiekowa Sorbona, kościoły, jakby rodzyńki w cieście wśród urzekającej harmoni dawnej zabudowy ulic. Tylko zaparkowane wzdłuż nich rzędami samochody przypominają, że to dwudziesty wiek. Pomiędzy nimi, bez pośpiechu przewijają się pojedynczo lub grupkami przechodnie, turyści. Z przytulnych kefejek, przez uchylone okna i niedomknięte drzwi, to się wylewają, to sączą i niosą echem dźwięki muzyki. Szmer głośów przeplatane salwami śmiechu. Ulatniający się aromat cygar i guluazów pobudza zmysły. Oczy radują wtulone w fasadach sklepiki, a uroku kompozycji dodają obwieszone wachlarzami kolorowych magazynów i tygodników, kioski. Lady mają, tak zavalone dziennikami, że zza stosów *Le Figaro*, *Le Monde* i innych, ledwie widać sprzedawców.

Niebywałe, gdy się ma świadomość zaprzątniętą problemami, to można patrzeć, a nie widzieć – dociera do mnie. Teraz widzę opiewany przez wielu, romantyczny Paryż i po raz pierwszy dostrzegam jego piękno. Dzisiaj wyeksponowane tu i ówdzie, jaskrawymi smugami zachodzącego słońca.

Schodzimy nad Sekwanę na Quai de Montebello, by rzucić okiem na katedrę Notre Dame. Sprawić Andrzejowi przyjemność, on jej jeszcze nie widział. Skręcamy w wąską uliczkę. Z oddali dobiegają nasilające się dźwięki bouzuki. Z mijanych knajpek, pach-

nie tak smakowicie, że wpadłoby się do niejednej i skosztowało przyrządzanych w nich przysmaków.

— Któregoś pięknego dnia, przylecimy tu z Kanady i w tych knajpach będziemy jadać, zobaczycie! — odgraża się Sławek zazdroszcząc siedzącym w greckiej restauracji *Aristos*.